Opłatę pocztową uiszczono gotówką.

Cena 30 gr.

Brzask

DYSKUSYJNY MIESIĘCZNIK
KULTURALNO-SPOŁECZNY

Nr. 1 (20) Warszawa, styczeń 1939 Rok III

H. Kampisty

„Nie oczekujcie wszystkiego od Państwa"

Wydaje mi się, że najbardziej wspólnym tonem, jaki przebija z polskiej prasy politycznej, jest ton powszechnego niezadowolenia, narzekań i nieustających pretensyj. Najciekawszym jest w tym wszystkim ta okoliczność, że te wszystkie biadolenia i krytyki kieruje się niemal wyłącznie pod adresem Rządu i jego organów.

Zjawisko to jest ciekawym już choćby dlatego, że prasa, nastawiona naogół niechętnie do biurokracji i działalności urzędniczej — wtedy, gdy chodzi o rozwiązywanie zagadnień ogólnych, wymaga właśnie od administracji państwowej, idącej po jej linii i rozleglejszej jeszcze działalności.

Myślę, że taki stan rzeczy zawdzięczać należy jakiejś hegemonii linii najsłabszego oporu, upraszczania sobie problemów przy równoczesnym braku odwagi spojrzenia prawdzie w oczy.

Zastanówmy się na chwilę: czy można odpowiedzialnością za rozwiązywanie zagadnień państwowych obarczać wyłącznie i tylko Rząd, jego organy centralne i administrację rządową?

Czyż można wymagać, aby tylko Rząd i jego organy wzięły na siebie trud inicjowania, prowadzenia i realizowania wszystkiego, co się w życiu społeczno - państwowym wyłoni?

Wychodzić tu trzeba by było przynajmniej z założenia, iż administracja publiczna jest totalna, wszechogarniająca życie państwowe i wszystkie jego przejawy.

Sądzę jednak, że z podobną myślą niewielu w Polsce mogłoby się pogodzić.

A za tym? Dajmy sobie wreszcie odpowiedź na pytanie: kto ma jeszcze poza Rządem i administracją publiczną ponosić odpowiedzialność za pozytywne rozwiązywanie problemów państwowych?

Odpowiem krótko, jednym słowem: społeczeństwo. My, wy i oni. Wszyscy. Już choćby dlatego, że państwo nie jest dobrem tych tylko, którzy na jego czele stanęli.

A przede wszystkim dlatego, że ci, którzy stoją na czele państwa i ci, którzy są wykonawcami wskazań, idących zgóry, nie mają dość sił, ani dość czasu i zasobów, aby wysiłkiem swoim objąć wszystko, co niesie nurt życia państwowego, aby narastającym potrzebom chwili dać właściwe rozwiązanie.

Udowodnijmy to sobie, spójrzmy prawdzie w oczy.

W granicach naszego państwa żyje około **10.000.000** obywateli, rekrutujących się spośród różnych mniejszości narodowych. Z naszej przede wszystkim winy obywatele ci niezawsze przyjaźnie patrzą na nas, nie zawsze czują, że są naszymi współobywatelami. Dość tu sobie uprzytomnić fakty, iż niejeden z tych współobywateli na ziemiach południowo - wschodnich wróży sobie po cichu na własnych palcach i trapi się ciągle pytaniem: ma być Polakiem czy nie, będzie tu Polska czy tu Polski nie będzie.

Sam byłem świadkiem, gdy przed kilku laty w jednej z sal uniwersytetu wileńskiego padały słowa tego rodzaju: „Wilno stać się musi stolicą państwa białoruskiego..."

Czy można mnożeniem się faktów tego rodzaju obarczać wyłącznie politykę tego lub innego wojewody?

Było by to mimo wszystko upraszczaniem sobie zadań. Nie sądzę bowiem, aby zdecydowana postawa społeczeństwa i jego nieustępliwy wysiłek mogły doprowadzić do takiego stanu rzeczy.

Polonizacji np. ziem wschodnich i związania ich na zawsze z ideą państwowości polskiej nie dokona tylko administracja rządowa, ani policja, ani okupacja wojskowa.

Pracy tej dokonać musi samo społeczeństwo. I społeczeństwo dnia dzisiejszego będzie odpowiadać przed historią za rozwiązanie tego problemu ogólno - państwowego.

Czy nie można by więc wreszcie skierować pretensyj prasy pod adresem społeczeństwa i domagać się od tego społeczeństwa, aby przystąpiło do pracy na Ziemiach Wschodnich i Zachodnich?

Czy do takich central życia społecznego, jak np. Towarzystwo Rozwoju Ziem Wschodnich lub Polski Związek Zachodni nie można się zwracać z podobnymi roszczeniami, z jakimi się występuje do Rządu?

A może by się udało wreszcie partie polityczne, a więc te organizacje, które dążą do kierowania życiem państwowym — namówić do konkretnej pracy w terenie?

Według danych „Małego Rocznika Statystycznego" powszechny spis ludności z 1931 r. wykazał, iż w Polsce, wśród obywateli powyżej 10 lat życia, mamy **23,1%** nie umiejących ani czytać ani pisać. Wiemy dobrze, że nasze szkolnictwo nie jest już od szeregu lat w stanie ogarnąć wszystkiej młodzieży w wieku szkolnym, a już zupełnie poza możliwościami jego pozostają analfabeci dorośli.

Widocznym jest tu znowu, że administracja rządowa nie jest w stanie problemu powszechności oświaty rozwiązać, nie jest w stanie zwalczyć co prędzej tej klęski społecznej, jaką jest analfabetyzm.

Myślę, że do rozwiązania i tego problemu państwowego przystąpić musi samo społeczeństwo, a więc musi uintensywnić pracę oświatowych organizacyj społecznych, rozszerzyć ich zakres działania i dzieło pomyślnym skutkiem uwieńczyć. I znowu wydaje mi się, że i pod adresem oświatowych organizacyj społecznych kierować można ataki prasy.

Czemuż bowiem odpowiedzialnością za stan oświaty nie obciążać tych organizacyj społecznych, które sobie jako cel, świadomie i publicznie, postawiły krzewienie — właśnie oświaty?

J. Dąbrowski

Wiedza o młodzieży

Leży przed nami to zagadnienie, leży oto w otwartej przed nami książce *) — tak, jak je widzimy w codziennym życiu: młodzież sięga po pracę, młodzież wdziera się do życia zawodowego, młodzież odepchnięta od pracy...

Było jej — młodzieży od lat 15 do 24 — w r. 1931 sześć i pół milionów, z czego ponad cztery i pół miliona młodzieży wiejskiej. Od tej daty rośnie zastęp młodzieży — dawkami jednak nierównymi, gdyż między rokiem 1930 a 1936 działają skutki wojny: gdy w r. 1929 weszło w wiek pełnej dojrzałości do pracy (18 l.) 700 tysięcy młodzieży, w r. 1935 cyfra zmalała o 300.000, od tej daty coroczny zastrzyk młodych sił wzrasta, by w r. 1939 dojść znów do około 700.000 rocznie: 500 tys. młodych chłopców i robotników rolnych, 125 tys. robotników, 75 tys. młodzieży z rodzin drobnomieszczańskich, 33 tys. z t. zw. „inteligencji" (w czym 2/3 pracowników umysłowych).

Te więc cyfry coroczne dodawać trzeba do początkowej (z r. 1931) liczby młodzieży, zarówno do wspomnianych wyżej czterech i pół miliona młodzieży wiejskiej z r. 1931, jak i do młodzieży miejskiej pozarolniczej: do około 1.000.000 młodzieży robotniczej, do 680 tysięcy — drobnomieszczańskiej (dzieci drobnych właścicieli małych miejskich warsztatów pracy), do 200.000 pracowników umysłowych i 100.000 z wolnych zawodów, przedsiębiorców i t. p.

Taki możnaby wytworzyć sobie obraz narastania młodego elementu ludzkiego, gdyby nie konieczność wzięcia jeszcze pod uwagę migracji między wsią i miastem, która w okresie między dwoma spisami ludności (1921—1931) dała ten efekt, iż wieś ze swego przyrostu naturalnego ok. 2 milj. 700 tys.) oddała miastu około 1.100.000 ludności, wzmacniając tą cyfrą przyrost naturalny miast (700.000).

Taką — w najogólniejszych zarysach — falą płynie młodzież ku rynkowi pracy, na którym, jak na giełdzie, ofiarowywać będzie swe młode siły i olbrzymią liczebność. Nim przyjrzymy się przyjęciu, jakie ją spotyka, zastanówmy się, jakie walory — walory fachowego przygotowania do pracy — zaprezentować może.

Z 700.000 młodzieży, która w r. 1934/5 opuściła mury szkół, 240 tys. unosiło w kieszeni świadectwo ukończenia; reszta — to ów balast, który corocznie wymiata się ze szkoły, bo jej ukończyć nie mogą. Gdy od tej liczby odjąć 207.000 świadectw ukończenia różnych klas szkół powszechnych (z czego tylko około 93 tys. świadectw ukończenia pełnej szkoły powszechnie — pozostanie 33 tysiące młodych, którzy świadectwa takie unoszą ze szkół średnich, zawodowych i wyższych, Ze szkół zawodowych — 14.000, Czytelniku, 14 tysięcy z ogólnej liczby 700.000 2% młodzieży.

Przemknijmy nad innymi cyframi: nad liczbą 164.000, którzy nie dochodzą do IV klasy szkoły powsz. i 185.000, którzy nie przechodzą poza tę klasę (razem 350 tys. — 59%) i nad faktem, że 51% dzieci wiejskich uczy się w jedno- i dwu-klasówkach; wreszcie tylko zaznaczmy mimochodem, że gdy w I kl. szkoły powszechnej młodzież wiejska stanowi 69% ogółu uczniów I kl., to przy końcu szkoły stanowi 37% ogółu, a w wylotowej klasie gimnazjum 11%.

Młodzież więc płynie na rynek pracy falą niewykwalifikowaną, w prawie 2/3 pozbawioną nawet wykształcenia, któreby przekroczyło poziom IV kl. szk. powsz. W swej części objętej dobrodziejstwem nauki — przejawia niedorozwój przygotowania fachowego, wysoki udział — ogólno - kształcącego.

Wkraczając na rynek pracy młodzież napotykała tu (w roku wysokiej koniunktury — 1929) armię 11 milionów czynnych zawodowo chłopców i robotników rolnych oraz 4,5 miliona zatrudnionych poza rolnictwem, z czego po 1.200.000 w przemyśle i rzemiośle (cóż za niedorozwój przemysłu, jaki wysoki stan rzemiosła), a 2.100.000 przy świadczeniu różnych usług w handlu, komunikacji (zalicza się tu i służbę publiczną — 700.000).

Wśród 11 milionów pracujących na wsi — 1.400.000 pracowało najemnie. Wśród 4,5 miliona czynnych w mieście, około 3 milionów pracowało najemnie, w czym około 2.500.000 robotników, około 550 tysięcy pracowników umysłowych.

Ta armia nie wyciągnęła rąk na powitanie nowego narybku.

Aparat produkcyjny polski jest niezdrowy w swej strukturze. Stłoczył olbrzymią masę wiejską na części jedynie ogólnego warsztatu rolnego, niesłychanie rozdrobnionej i niezdolnej wchłaniać więcej pracy ludzkiej. Rozrost rzemiosła, również nie pracochłonnego, niedorozwój przemysłu, chaos panujących w nim stosunków i niemożność podporządkowania stanowi gospodarczemu, opracowanemu z uwzględnieniem naczelnych potrzeb społecznych, wśród których najważniejszą — aktywizacja młodych sił roboczych — wszystko to wytworzyło bezrobocie młodzieży, wynikające z samej struktury gospodarczo - społecznej Polski. Do tego dołączyły się zjawiska koniunkturalne.

Stan posiadania armii pracy skurczył się katastrofalnie w dobie kryzysu. Stan zatrudnienia robotników zmalał o 1/4, a późniejszy wzrost produkcji nie podniósł proporcjonalnie zatrudnienia, gdyż mechanizacja pracy zastąpiła znaczną część odsuniętych od pracy rąk ludzkich, nadto zaś skrócona w czasie kryzysu ilość dni pracy w tygodniu wymagała raczej powrotu do pełnego tygodnia pracy, niż przyjmowania nowych robotników.

Na rynku pracy pozarolniczym przybywająca młodzież konkuruje z armią ok. 800.000 dorosłych bezrobotnych. Obliczenie to optymistyczne, skoro ze zsumowania liczb osób pracujących i bezrobotnych w poszczególnych latach 1929 — 1936 wynikałoby, że suma zdolnych do pracy prawie się nie zwiększyła; a w rzeczywistości — rosła ona po ok. 250.000—300.000 rocznie.

Na rynku pracy rolniczym 400-tysięczny zespół nowoprzybywających pyta o możność zatrudnienia go na roli i otrzymuje od elementu starego odpowiedź: jest nas tu, według optymistycznych obliczeń, 2 i pół miliona „zbędnych" pod względem ekonomicznym; nie potrzebujemy waszej pomocy.

Jednak nawet na gruncie bezrobocia, które w praktyce napiera na każde miejsce, czy zwalniające się wskutek zgonu pracownika lub niezdolności jego do pracy i czyni konkurencję naturalnym kandydatom — młodym, możliwe jest teoretyczne **wyliczenie nadwyżki rocznej liczby młodych kandydatów do pracy nad liczbą zwalniających się miejsc pracy.**

Obliczenie to, oparte na danych r. 1936, opracowano szematowo dla całej Polski na podstawie szczegółowych badań metodą repre-

*) „Młodzież sięga po pracę", opr. Komitet Redakcyjny: Henryk Kołodziejski, Kazimierz Korniłowicz, Ludwik Landau, Edward Strzelecki, wyd. Instytutu Spraw Społecznych, str 166 + 88 dodatku statystycznego; cena 6.80 zł.

„Brzask" dla swych Czytelników otrzymał premię w postaci ulgowych cen zakupu tej pięknej książki — po zł. 5.10 (plus koszty porta — gr. 40).

Kwotę tę należy wpłacać za pośrednictwem PKO na Nr. 2284, właśc. Instytut Spraw Społecznych, Warszawa, Wilcza 1, podając na odwrocie cel wpłaty i powołać się na niniejszą informację.

Jak wynika z ostatnich sprawozdań parlamentarnych, na **70.000** wolnych miejsc pracy w Polsce przyrasta rocznie **370.000** bezrobotnych.

Do zatrudnienia tego nadmiaru sił roboczych nie wystarczą, moim zdaniem, starania samej administracji. Widocznym jest, że to są konsekwencje wadliwości ustroju społeczno - gospodarczego, który wytworzyło mimo wszystko samo społeczeństwo. To też społeczeństwo stanąć musi do pracy, jakiej tylko wymagać będzie rozwiązywanie problemu zatrudnienia nadmiaru sił roboczych.

Właściwe organizacje społeczne rozpocząć muszą intensywniejszą kontrolę życia zawodowego swych członków, muszą też rozwiązywać na swoim terenie zagadnienie samokształcenia zawodowego. Z drugiej strony można się domagać od organizacyj społecznych, aby ułatwiały swym członkom zakładanie samodzielnych warsztatów pracy, aby w otoczeniu swoim ideę pracy przy własnym warsztacie pracy propagowały jak najszerzej.

Czy nie można bowiem np. organizacyj zawodowych i ideowo - wychowawczych obarczyć obowiązkiem właściwego wychowywania swych członków?

Dlaczego, idąc po linii najsłabszego oporu, przerzucać odpowiedzialność wyłącznie na administrację państwową?

Chyba tego rodzaju przykłady wystarczą, aby wykazać w najogólniejszym zarysie, iż nie tylko Rząd winien być pociągany do odpowiedzialności za swoją działalność. Ale i społeczeństwo, a więc my, wy i oni. Wszyscy.

Trzeba bowiem w Polsce zdekoncentrować poczucie odpowiedzialności za losy państwa, zespolić życie społeczne z najważniejszymi jego problemami i nauczyć społeczeństwo myśleć kategoriami pracy pozytywnej i twórczej. Nie zaś biadoleń i ciągłych pretensyj.

Dobrze by było, aby wreszcie prasa zaczęła całe społeczeństwo kierować do pracy społecznej i żądać od niego składania rachunków z tej pracy. Dobrze by było, aby wreszcie jedni obywatele powtarzali drugim radę jedyną:

„Nie oczekujcie wszystkiego od państwa, lecz sami bądźcie silni, jeżeli chcecie mieć silne państwo!..."

H. Kempisty.

zentacyjną — przedstawia się niezmiernie wymownie:

Wśród chłopów i robotników rolnych przyrasta rocznie 405 tys. młodych rąk do pracy; wskutek zaś zgonów i niezdolności do pracy opróżnia się 175.000 miejsc pracy, pozostaje nadwyżka 230.000 niewykorzystanych młodych sił roboczych.

Wśród robotników przyrasta 105.000 młodzieży, zwalnia się wskutek wypadania z pracy — 45.000 miejsc pracy; nadwyżka wynosi 60 tys. młodzieży.

W sferach drobnego mieszczaństwa, pracowników umysłowych, wolnych zawodów zwalnia się 25 tys. miejsc rocznie, a kandyduje na nie 35.000 młodzieży, samej tylko pochodzącej z tej warstwy ludności, nie licząc naporu z warstw innych; nadwyżka w tych warunkach wynosi 10.000 młodych.

Tak więc co roku — po obsadzeniu zwalniających się stanowisk — pozostaje jeszcze dodatkowe zapotrzebowanie na około 300.000 nowych miejsc pracy rocznie. W tym tempie wzrastać musi aparat produkcyjny w Polsce, aby sprostać tylko zadaniu: niepogarszania stanu rzeczy, jaki istnieje dziś.

Za mało mamy wiedzy o młodzieży. Tym, którzy zajmują się nią na szczeblu sztabowym, brak wiedzy o praktyce jej życia; ale też tym, którzy z nią pracują bezpośrednio, dzieląc z nią codzienne zmagania z przeciwnościami życia — brak bardzo wiedzy o całokształcie zagadnienia o obliczu ekonomiczno - społecznym położenia materialnego młodzieży. Bez tej wiedzy działacz młodzieżowy kołacze się w ramach swych skromnych z natury rzeczy możliwości, nie mogąc osiągnąć zsumowania swych wysiłków z wysiłkami innych, nie mogąc pomnożyć swych konkretnych osiągnięć przez zmobilizowanie opinii publicznej dla poparcia koniecznych postulatów ekonomicznych młodzieży.

Tę lukę zapełnia omawiana książka. Już sam ten fakt, iż stało się możliwym zestawienie z popularnego wydawnictwa danych, choćby tak pobieżnych, a przecież wymownych, jak przytoczone wyżej — wystarcza jako stwierdzenie jej wartości. Książka jednak prezentuje sobą nadto dużą wartość analizy licznych zagadnień, wchodzących w zakres przedmiotu. Zwłaszcza bogaty dodatek statystyczny, zawierający dane zróżniczkowane, m. in. terytorialnie, przedstawia sobą busolę książkową dla działacza społecznego, interesującego się nie tylko całokształtem zagadnienia, ale jego wyglądem od strony danej grupy społecznej młodzieży lub danego środowiska. W pewnej dziedzinie odczuwa się brak w książce danych ściślejszych: z zakresu szkolenia zawodowego, osiąganego nie tylko drogą szkolną, lecz praktyk rzemieślniczych, związku między wystarczalnością tych kadr, a zapotrzebowaniem produkcji, wiadomości o związanym z tym aparacie państwowym i społecznym. Lecz to cały olbrzymi temat, wymagający osobnego opracowania.

Trzeba znać prawdę, żeby móc z nią walczyć. Ale też poznanie jej — obowiązuje.

Wiedza o młodzieży, którą zdobywamy, musi skłonić wszystkich działaczy młodzieżowych **do porozumienia się: dla wspólnego zgłębienia sprawy, szukania dróg wyjścia, zespolenia wysiłków realizujących konkretne poczynania organizacyjne, ale zwłaszcza dla nadania mocy postulatom, jakie ze stanowiska młodzieży zgłoszone być muszą pod adresem ogólnopaństwowej polityki gospodarczej.**

K. Sabbat

O starszoharcerskie obozy społeczne na Ziemiach Wschodnich

Wychodzę z założenia, iż zasadniczym typem obozu starszoharcerskiego powinien być obóz społeczny, nigdy zaś obóz wypoczynkowy, wędrowny dla samego tylko wędrowania lub nawet i wędrowny o celach krajoznawczych. Bo dalszym dla mnie założeniem jest, że nadeszła już pora, aby starsze harcerstwo wzięło się do wielkiej, społecznej roboty.

Spośród innych ważnych odcinków pracy wydaje mi się, że terenem, na który winny skierować się nasze wysiłki, muszą być Ziemie Wschodnie.

Ogromna połać naszego państwa, stanowiąca trzecią część jego obszaru, mimo 20 lat niepodległego bytu państwowego, żyje jakby osobnym życiem. Mało związana gospodarczo z resztą kraju, niedostatecznie zespolona państwowo i kulturalnie.

Na dowód przytoczę trochę własnych wrażeń i kilka obrazków z zimowych obozów akademickich kręgów starszoharcerskich z Warszawy (w styczniu b. r.):

...Kołomyja. Jarmark przedświąteczny. (Boże Narodzenie według starego stylu). Na ulicach miasta, a zwłaszcza na rynku — tłok. Mnóstwo ludzi. Wszyscy prawie mężczyźni i kobiety w białych lub żółtych kożuchach; na głowach futrzane kołpaki obramowane lisią skórą... Miałem 3 godziny czasu. Na obserwację, rozmowę i rozmyślanie. Poszedłem między ludzi.

Czy wiecie, jak ten tłum wydaje się obcy? Inny język, inny strój, inne zwyczaje. Przyszło mi wtedy na myśl: czy potrafimy kiedyś zespolić tę masę z resztą ludności Polski, czy zdołamy stworzyć wespół z nimi jednię duchową, skupioną wokół idei Państwa Polskiego... wzbudzić wśród nich świadomość współdziałania nad „podciąganiem Polski wzwyż"? Czy uda nam się wśród nich wykrzesać poczucie odpowiedzialności za losy Państwa i dumę z przynależności do niego?

Po długim namyśle doszedłem do przekonania, że to MUSI nastąpić, choćby wymagało bezmiaru pracy. W przeciwnym razie trudno nam będzie ziemie te w naszych granicach utrzymać.

...A co o tym sądzi ludność miejscowa? Co sądzą Polacy albo Rusini rzymsko - katolickiego obrządku, a więc w miejscowych warunkach bliżsi nam od innych?

Jechałem sankami do Kołomyi z hucułem. Nazywa się Arsenicz Berezowski. Berezowski, wyraźnie. Szlachcic zagrodowy, herbu bodajże Jastrzębiec. Nawet należy do Związku Szlachty Zagrodowej. Sam rzymsko-katolik, choć najbliższa jego rodzina jest już greko- katolicka (nazywają się już Arsenicze tylko, nie Berezowscy; tak zapisane w cerkwi).

Droga długa, nocą, na jednym siedzeniu, to i szczerzej się jakoś rozmawia. Pytam Arsenicza, co on o tym sądzi? Bo to przecież łączy nas jedna religia, rzymsko- i greko-katolicy mają wspólną głowę papieża, wielu z nich przecież czuło się dawniej Polakami, szlachtą polską.... no, i wreszcie Polska jest teraz taka mocna, tyle w niej prężności, to już chyba wszystkim lepiej będzie w jej granicach, niż gdziekolwiek indziej... Czy więc nastąpi tutaj, jego zdaniem, jedność? A Berezowski na to po namyśle:

„Panie, ja tam już stary, mam lat 68, to się prawdy powiedzieć nie boję; po mojemu to tu nigdy jedności nie będzie. Nie będzie, bo tu od dziecka wszczepiana jest w nas nienawiść".

A dowodów na potwierdzenie tych słów nie brakło... Chłopak 12-letni opowiada, że ksiądz „polski" gorszy, „jak Żyd, jak sobaka"; dzieci na wsi głębokiej, obdarzone cukierkami, na propozycję przyjścia do świetlicy, gdzie dla nich urządzi się zabawy, zwracają cukierki: odruchowo okazywano niechęć i nieufność wobec naszych lekarzy...

...Ale mimo wszystko, ja miałem rację, panie Berezowski, mówiąc, że jedność będzie. Trzeba było popatrzeć na te dzieci po paru dniach pobytu w świetlicy i na tych chorych, co bezpłatnie otrzymywali porady i lekarstwa. Znalazło się wyjście z trudnej sytuacji. Uprzedzenie znikło gdy podeszliśmy do ludzi z sercem, szczerze, nie w „lisiej skórze".

Jakiż serdeczny był nastrój w takiej np. wsi Wielbownie, w powiecie zdołbunowskim. Po wieczornicy nastąpiło pomieszanie się uczestników obozu z miejscową ludnością; rozmowy przyjazne, szczere, o tym, co słychać tu, a co w innych stronach Polski. Śpiewaliśmy razem z nimi posenki, kolendy, a potem wszyscy gromadnie poszliśmy nad granicę. Druty kolczaste, słupy graniczne. Polski żołnierz... A po drugiej stronie ciemno, tylko wysoki parkan, zasłaniający wieś od Polski, szarzeje smugą. I wobec tej granicy, obok drutów kolczastych i słupa granicznego z sierpem i młotem, wszyscy poczuliśmy się związani czymś bardzo wspólnym, poczuliśmy, żeśmy jedni. Tak. Nie będzie rozdziału na: „my i wy", ale trzeba na ziemie wschodnie pójść i to pójść z sercem. Najwięcej zdziałać może tu młodzież. Ona jest najbardziej zapalna, najbardziej idealistyczna, do niej należy przyszłość. Harcerstwo winno tutaj odegrać pionierską rolę, choćby dla tego, że wyczuwa ono zawsze aktualne potrzeby Polski, że pierwsze staje na tych odcinkach pracy, które wysuwają się na czoło pod względem swojej wagi.

Zresztą, akcja tego rodzaju wśród obozów harcerskich była już szeroko prowadzona. Zwłaszcza na Polesiu. Chodzi więc teraz o to, by na akcję tę położyć znacznie większy nacisk. Obozy młodzieży harcerskiej akcję społeczną kładą

PO WSZELKIE MATERIAŁY, DOTYCZĄCE ZIEM WSCHODNICH I ICH TERENÓW OBOZOWYCH, PO WSZELKIE INFORMACJE I POMOCE W ZAKRESIE PRACY SPOŁECZNO - OBOZOWEJ ZWRACAĆ SIĘ NALEŻY DO WYDZIAŁU ST. HARC. GŁÓWNEJ KWATERY HARCERZY (WARSZAWA, UL. PIUSA XI 8 M. 2).

na drugim lub trzecim miejscu w swojej działalności. Trzeba więc organizować więcej takich obozów, które akcję społeczną położą na pierwszym planie. Takimi obozami muszą być w pierwszym rzędzie starszoharcerskie obozy społeczne.

Starsze harcerstwo Warszawy ma tu już poza sobą poważne osiągnięcia. W styczniu b. r., akademickie kręgi starszoharcerskie Warszawy, zgrupowane w Kuźnicy Akademickiej, zorganizowały 3 obozy społeczne: 1 na Huculszczyźnie, 2 na Wołyniu. Kilkoma uwagami co do tych obozów pragnę się na tym miejscu podzielić.

Przede wszystkim były to obozy zimowe. Dotychczas utarło się mniemanie, że działalność społeczno-obozową można prowadzić tylko w lecie. Nie trzeba ulegać sugestii. Zima jest znacznie lepszą porą dla pracy społecznej. Latem wieś jest przez cały dzień w polu przy pracy dzieci starsze przy bydle, a tylko najmłodsze w domu. Wieczory są bardzo krótkie. Jedynie tylko niedziele wolne... W zimie natomiast są długie wieczory, w czasie których tylko drzemie się przy kominie... i dzieci nie mają co robić, bardzo chętnie przyjdą do świetlicy nawet w czasie dnia, zwłaszcza jeśli to są ferie świąteczne. A i lekarze mają dużo więcej zimą do roboty, choćby ze względu na częste epidemie grypy.

Piękne to pole do działania być pionierami społecznych obozów zimowych na szeroką skalę, tak jak byliśmy dotąd pionierami obozów letnich.

Drugą ważną wartością społecznych obozów zimowych było to, iż przyniosły uczestnikom wiele głębokich przeżyć. Jeżeli przyjedziecie do samotnej polskiej wsi, gdzie wam powiedzą, że przychodzą do was na wieczornicę, jak na polskie nabożeństwo, bo kościoła ani księdza nie mają, bo mowy polskiej wokół nie słyszą, gdy wam chłop prosto i nieuczenie, lecz szczerze powie, że wie po co tu na posterunku stoi, to was tak jakoś coś za gardło ściśnie... Nie można zapomnieć tych chwil. I to jest najważniejszy rezultat obozu. Dzięki temu sprawa Ziem Wschodnich stanie się wam wtedy bliska i zrozumiała. Stanie się ważniejszą niż spory partyjne o drobne nieistotne sprawy, lub ludzkie ambicje. To będzie wasza prawdziwa, a zarazem rzetelna praca polityczna.

Jak były zorganizowane 3 obozy akademickie z Warszawy?

Były to obozy koedukacyjne. Liczyły przeciętnie po 30 uczestników. Dzieliły się na zespoły: artystyczny, społeczny, prelegencki, gospodarczy. Zespół artystyczny obejmował grupę tancerzy, chór oraz muzykę. W programie miał pokazy polskich tańców ludowych (w kostiumach) oraz śpiewów. Poszczególne punkty programu łączyły się „konferansjerką". Zespoły artystyczne urządzały po 5—8-miu pokazów w sąsiadujących ze sobą wsiach. Po pokazach urządzano zabawy ludowe oraz przeprowadzano rozmowy z miejscową ludnością.

Zespół społeczny obejmował lekarzy, weterynarzy oraz kierowniczki świetlic. Lekarze udzielali porad w tych wsiach, gdzie urządzano pokazy. Lekarstwa dawano bezpłatnie. W każdym z trzech obozów udzielono przeciętnie 180 porad w ciągu dziesięciu dni trwania obozu. Weterynarze mieli stosunkowo mniej roboty.

Kierowniczki świetlic prowadziły świetlice dla dzieci w miejscowościach, gdzie obozy były zakwaterowane. Prowadziliśmy świetlice w 3 wsiach, w każdej z nich mieliśmy po 24 — 50 dzieci. Wyniki pracy zespołu społecznego zasługują na specjalne podkreślenie.

Zespół prelegentów był wyposażony w lampę projekcyjną. Zadaniem jego było wygłaszanie prelekcyj i przemówień bądź to w związku z wieczornicami, bądź też we wsiach, gdzie wieczornic nie urządzano. Tematem prelekcji były osiągnięcia Państwa Polskiego w okresie niepodległości. Podkreślano zwłaszcza dynamizm współczesnego życia Polski, prężność wewnętrzną, oraz wartość bojową armii polskiej.

Zespół gospodarczy dbał o stronę gospodarczą obozu: o zakwaterowanie, wyżywienie, transporty, zaopatrzenie w potrzebny inwentarz i t. p.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że obóz Kręgu Studentów Politechniki Warszawskiej urządzony został w porozumieniu z Legią Akademicką. Występował nawet w mundurach Legii, jako harcerski obóz pracy społecznej Legii Akademickiej. Obóz wizytowany był przez władze Legii, którym szczególnie podobało się współżycie harcerskie i karność uczestników - harcerzy, oparta na zrozumieniu swych zadań i obowiązków.

Artykuł ten nie ma na celu dawania próby rozwiązania problemu Ziem Wschodnich. Wychodząc z założenia bezspornej konieczności ścisłego zespolenia tych ziem z resztą Rzeczypospolitej, wskazuje najważniejsze dla nas formy pracy w tym kierunku: szerzenie kultury polskiej oraz pracę społeczną.

Niech w tej akcji, jak i w wielu innych, Harcerstwo obejmie znowu rolę przodującą.

K. Sabbat.

L. Bar

Naprawdę Główna Kwatera Starszego Harcerstwa?

Zawiodłem się na ankiecie „Brzasku" w sprawie samodzielności starszego harcerstwa. Nadesłano zbyt mało odpowiedzi z kręgów st. h., nie wielu kierowników pracy st. h. zabrało w tej sprawie głos. To, co „Brzask" otrzymał i ogłosił — to za mało, jak na świadome dążenie ruchu starszoharcerskiego do samodzielności. Myślę jednak, że to są skutki jego obecnego rozbicia i braku samodzielnego kierownictwa. Jeszcze bardziej zaskoczył mnie brak głosów przeciwnych. Po prostu nikt nie wypowiedział się na łamach „Brzasku" przeciw projektowi powołania Głównej Kwatery Starszego Harcerstwa, nikt nawet nie podjął dyskusji. Czy to ma znaczyć, iż sprawa jest zbyt mało aktualną i wobec tego należy się wycofać z obranej drogi? Nie, — ja tłumaczę to sobie inaczej. Przede wszystkim — niestety — „Brzask" nie dociera jeszcze wszędzie tam, dokąd powinien docierać. Ten fakt zmniejsza już grono osób, które mogłyby się zagadnieniem zainteresować. Druga przyczyna — to brak „piór" starszoharcerskich i instruktorskich skorych do zanurzenia się choćby tylko w najbardziej aktualnych, ale jednocześnie poważnych i trudnych zagadnieniach. Czasami znowu wydaje mi się, że u nas albo następuje reakcja spóźniona, a więc nie w czasie otwartej dyskusji publicznej, ale gdy już jakaś sprawa jest zarządzona. Czasem znów stroniąc od uczestniczenia w otwartej dyskusji publicznej — ograniczamy się do „pojękiwania po kątach"; przeważnie zresztą zawzięcie i nieraz rzeczowo.

Na więcej zainteresowania nie ma co czekać. Sprawa jest pilna. Trzeba się posuwać naprzód.

Zbliża się Zjazd Walny, a na nim powinny zapaść pierwsze uchwały w sprawie samodzielności st. h. Trzeba przygotować i zgłosić wnioski. Jakie? Czy zmiana statutu i odrazu utworzenie Głównej Kwatery St. Harcerstwa, a więc gwałtowny przewrót w obecnym porządku? A może droga ewolucji i próba rozwiązania sprawy na trzy lata, do następnego Zjazdu Walnego,—bez zmiany statutu? Bardzo wiele istotnie ważnych powodów skłania mnie do wybrania tej ostatniej ewentualności. Przeprowadzenie tego rozwiązania wyobrażam sobie następująco:

Główna Komisja Starszego Harcerstwa przy Naczelnictwie Z. H. P.

Walny Zjazd—na wniosek zgłoszony z grona instruktorów st. h. — uchwali powołanie Głównej Komisji St. H. przy N. Z. H. P. Uchwała ta również ustali sposób powoływania członków komisji. Wypowiadam się za komisją złożoną z trzech osób: kierownik — mianowany przez Przewodniczącego Z. H. P, dwóch członków — wyznaczonych po jednym przez Naczelniczkę Harcerek i Naczelnika Harcerzy.

Zakres działania Głównej Komisji St. H. musiałby obejmować przynajmniej sprawy następujące:

1) troska o zachowanie jedności ideowo-społecznej całego ruchu starszoharcerskiego, opracowywanie wytycznych, wskazówek dla kręgów oraz wniosków dla Naczelnej Rady Harcerskiej;

2) opracowywanie wytycznych społecznej pracy starszego harcerstwa: wskazywanie dziedzin pracy społecznej, na które st. h. powinno przede wszystkich zwrócić uwagę, ustalanie zasad współdziałania z innymi organizacjami społecznymi i utrzymywanie w tym względzie łączności z innymi organizacjami;

3) kierowanie współpracą kręgów żeńskich i męskich, kół dawnych harcerzy i kręgów instruktorskich — w kuźnicach harcerskich: zbieranie spostrzeżeń w sprawach organizacji, programu i metod działania kuźnicy i opracowywanie wytycznych, rozstrzyganie sporów;

4) organizowanie zjazdów starszego harcerstwa i konferencyj kierowników pracy st. h., a więc przygotowywanie i przeprowadzanie złazów, zlotów, konferencji i t. p.;

5) przeprowadzanie gruntownych studiów w sprawie kręgów st. h. mieszanych męsko - żeńskich („koedukacyjnych") i przedstawianie wniosków Radzie Naczelnej;

6) rozwiązanie zagadnień harcerstwa na wyższych uczelniach: formy organizacyjne, program pracy, łączność z całością Z. H. P. — kręgi mieszane (koedukacja);

7) przeprowadzenie gruntownych studiów nad zagadnieniem utworzenia Głównej Kwatery Starszego Harcerstwa i przedstawienie wniosków na zjeździe st. h. oraz Radzie Naczelnej;

8) opieka nad pismem starszoharcerskim „Brzask".

Są jeszcze inne sprawy, którymi powinna się zająć Główna Kwatera. Narazie wymieniam tylko te, które wydają mi się po prostu nagłe. Nierozwiązanie ich — stanowi po prostu zawadę na drodze rozwoju st. h.

Mówiono mi nieraz, że te i tym podobne sprawy muszą przecież załatwić obecne władze

i organa Z. H. P. Odpowiadam na to tak:

W obecnych warunkach starsze harcerstwo jest rozbite w dwóch organizacjach, załatwienie jakiejkolwiek pracy wspólnej (a przecież trudno zaprzeczyć, że ruch starszoharcerski nie ma wielu żywotnych spraw wspólnych) — wymaga długotrwałych konferencyj między dwoma Głównymi Kwaterami. To nie sprzyja szybkiej decyzji i mocnej sławie.

Starsze harcerstwo nie jest pytane o zdanie, o opinię, życzenia i t. p. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż inne organizacje młodzieży i społeczne (które tak, jak i st. h. mają członków powyżej lat 18) mają swoje zjazdy, konferencje i t. d., opracowują gromadnie plany — to dążenie st. h. do samodzielności staje się zupełnie zrozumiałe.

Obecnie Główne Kwatery nastawione w swej pracy głównie na wychowywanie dzieci i młodzieży i w tym względzie związane z różnymi czynnikami — niejednokrotnie nie mogą angażować się w sprawy społeczne, w których st. h. z pożytkiem mogłoby brać udział. Jeżeli utworzy się organ naczelny st. h. poza Głównymi Kwaterami — aktywność społeczna st. h. może się znacznie wzmóc.

Czy Zjazd Walny uchwali taki wniosek? Zobaczymy! Wiele zależy od nas samych. Przecież trzeba sobie zdawać sprawę z tego, iż jeszcze przed rokiem dążenie do samodzielności st. h. uważano za rzecz zupełnie nierealną, a nawet niezrozumiałą. A dziś? Znaczna ilość poważnych instruktorów wypowiada się zdecydowanie za tym. Dh Trylski w ubiegłym jeszcze roku odniósł się życzliwie do całej sprawy. Za Gł. Kwaterą st. h. wypowiadają się m. in. tacy instruktorzy, jak: Grzesiak, Kamiński, Łowiński, Piskorski. To już wielkie atuty, nie wolno ich zmarnować.

Przed Zjazdem Walnym trzeba o sprawie naszej powiedzieć najbliższym, zainteresować wszystkich instruktorów, zarządy okręgów, koła, dawnych harcerzy. Na zjazdach okręgów trzeba zgłosić rezolucje do Naczelnictwa Z. H. P., ażeby podjęło kroki do utworzenia osobnego kierownictwa spraw st. h.

Pamiętać trzeba wszakże o tym, iż przed jakimkolwiek wystąpieniem publicznym sprawę trzeba rzetelnie rozważyć na zebraniu kręgu — boć chodzi o krok ważki, który będzie w skutki brzemienny. Będziemy odpowiedzialni za to, co się stanie ze st. harcerstwem.

O wszystkim, co się w kręgach robi i co myślicie o usamodzielnieniu się st. h., piszcie do „Brzasku". Tylko w ten sposób będziemy się mogli orientować w rozwoju sprawy.

Jeżeli będziecie pisali do „Brzasku" — dajcie odpowiedź przede wszystkim na następujące pytania:

1) czy uważasz za potrzebne utworzenie jednego kierownictwa dla całego st. h. żeńskieg i męskiego?

2) jakie argumenty przemawiają za twoim stanowiskiem?

3) jak ma być powoływane kierownictwo st. h. i w jakim składzie?

4) jakie najpilniejsze sprawy ma do załatwienia kierownictwo całego st. h.;

5) jakie słyszałeś głosy przeciw usamodziel nieniu się st. h.?



fot. L. S. Załuski.

Wł. Szczygieł

Starsze harcerstwo

a zagadnienia społeczno — polityczne

Interesującą jest rzeczą dla każdego z nas, kto zetknął się z pracą starszoharcerską — w jaki sposób kręgi st. harcerskie realizują pracę samokształceniową, zwłaszcza jeżeli chodzi o zagadnienia ideowo-polityczne, społeczne itd. Zagadnienia te pociągają przecież każdego starszego harcerza i to zarówno robotnika, jak studenta uniwersytetu, czy też wchodzącego w swój zawód młodego inteligenta.

Starsze harcerstwo nasze — to dość już spora gromada ludzi, przeważnie w wieku między 20—30-ym rokiem życia. Niejeden z nich pracuje nad swoim poglądem na świat i na te wszystkie zagadnienia, które ustalają jego osobowość w stosunku do otaczającego go świata. Zdaje sobie jasno sprawę, że taki pogląd musi mieć, chociaż nie zawsze wie o tym, że trzeba go sobie wypracować. Często nie wie jak podejść do tych zagadnień. Zręby światopoglądu harcerskiego poznał w szeregach młodszo harcerskich, w wieku idealizmu młodzieńczego, pragnie je teraz zmierzyć, jeszcze raz zbadać, ocenić krytycznie, skonfrontować z życiem i ustalić. Praca samokształceniowa kręgów, któraby ułatwiła st. harcerzowi poszukiwania własnej drogi jest więc ogromnie ważna, istotna, nie można jej pod takim czy innym pozorem usuwać. Nie uwzględnienie jej osłabia krąg pod względem duchowym oraz obniża siłę tego wewnętrznego pędu do samokształcenia, do zainteresowań problemami w tym okresie. Nie można również uspokoić się tym, że zainteresowanie tymi zagadnieniami zaspokoją starsi harcerze w innych organizacjach tego typu jak organizacje ideowo-polityczne, sportowe i t. d. Wszak chcemy jako harcerstwo być organizacją integralną, uwzględniającą potrzeby *całego* człowieka.

W rozwiązywaniu tych problemów społeczno-politycznych starsze harcerstwo musi nawiązać do pracy skautów. W drużynach skautowych wprowadza się w program pracy zagadnienia społeczne, narodowe w oparciu o poznanie życia polskiego i w oparciu o szukanie swojego miejsca w społeczeństwie. Poznaje więc skaut społeczeństwo i jego problemy oraz siebie samego poto, by znając te dwa czynniki zdecydował jak on i na jakim posterunku może i powinien najlepiej i najwydatniej życiu Polski służyć i życie to rozbudowywać i potęgować.

Starsze harcerstwo musi to dalej poprowadzić. Starszy harcerz już nie będzie szukał swojego miejsca w społeczeństwie, bo o tym już przeważnie zadecydował, ale będzie potrzebował dokładnego sprecyzowania swojego stanowiska jako obywatela pracownika do zagadnień ogólno-społecznych, narodowych, państwowych i t. d. Tę pracę musi starsze harcerstwo poprowadzić i rozbudować.

Zaobserwowałem dwie formy pracy samokształceniowej kręgów na tym polu. Pragnę, by na łamach „Brzasku" na ten temat rozpoczęła się dyskusja względnie, by dzielono się doświadczeniem z tego odcinka pracy. Wszyscy bowiem kierownicy kręgów zdają sobie sprawę, że jałowizna, bezproblematyka, ubóstwo myślowe nie wychowa nam pełnego Polaka w duchu potrzeb dzisiejszego świata i życia polskiego. Wizja Polaka czasów nadchodzących, Polski idącej — to człowiek pełnowartościowy, umiejący głęboko myśleć i zastanawiać się nad życiem Polski, którą będzie umiał rozbudowywać. Pracę swoją zawodową ujmie nie tylko jako swój zawód i środek utrzymania siebie i swojej rodziny, ale jako współtworzenie potęgi i siły życia polskiego czy na polu gospodarczym, czy kulturalnym. Trzeba tak zrozumieć swój trud życia codziennego i tak go spełniać, by był maksymalnym wysiłkiem wtrąconym w całość budowania potęgi swojego narodu. Trzeba być człowiekiem myślącym, mającym wypracowany przez siebie światopogląd, wczuwającym się w życie narodu i państwa, jego potrzeby i kierunki rozwojowe. W przeciwnym wypadku jest się zwykłym zjadaczem chleba lub martwym kółkiem wielkiej maszyny nie wprzągniętym w jej harmonijną całość. Wysiłek pracy wtedy jest mały, poczucie zaś pełnowartościowości człowieka zahamowane. Jako organizacja harcerska możemy wychowywać tylko ten aktywny typ człowieka i Polaka. Praca zatym na polu samokształceniowym w dziedzinie zagadnień polityczno-społecznych i światopoglądowych jest rzeczą konieczną. Musi być pracą docenianą.

Rozpatrywanie zagadnień społeczno-politycznych ułatwiają sobie niektórzy i rozwiązują w ten sposób, że ustalają plan zebrań dyskusyjnych czy referatów, na których oni sami lub zaproszeni znawcy referują nie tyle zagadnienia społeczno-polityczne bieżącego życia Polski, ile obecne ruchy i kierunki polityczne w społeczeństwie. Czyni się to w praktyce w ten sposób, że przychodzi prelegent obcy harcerstwu albo ktoś z członków kręgu i referuje programy poszczególnych grup politycznych.

Będzie tam mowa raz o 1) ruchu ludowym i Stronnictwie Ludowym, to znowu 2) o ruchu narodowym Stronnicwa Narodowego i grup młodszych, 3) o ruchu socjalistycznym w Polsce, 4) o koncepcji konsolidacji narodu przez Obóz Zjednoczenia Narodowego i jego założeniach programowych. Do tego często dochodzą referaty 5) o młodym ruchu ludowym ujętym też po największej części pod kątem raczej wpływu grup politycznych oraz referat 6) o założeniach akcji katolickiej i jej formach pracy.

Po wygłoszonych referatach, zwłaszcza tych wyżej wymienionych, odbywają się dyskusje bez jakiejś linii wytycznej. Na zakończenie zestawia się to wszystko i konfrontuje z podstawami ideowymi harcerstwa. W efekcie jednak wysuwają wszyscy wniosek lub kierownictwo kręgu to podsuwa, iż jesteśmy apolityczni, że tylko przedstawiamy sobie programy najważniejszych zespołów politycznych, poznajemy je. Sprawa skończona. Taka forma pracy nie jest skautową, nie pomaga ona pracy każdego starszego harcerza w kierunku wypracowania sobie światopoglądu politycznego. Wprawdzie wszyscy mówią, że założenia poszczególnych grup mogą być poddane krytyce przez indywidualność każdego członka, ale takie postawienie sprawy, t. zn. przedstawienie zagadnień współczesnego życia Polski po przez takie czy inne założenia programowo-polityczne grup politycznych raczej wzmaga bezkrytyczność młodego człowieka, upraszcza mu jego pracę myślową i nie pobudza do dalszego samokształcenia.

Spotykamy inny sposób pracy w kręgach, bardziej skautowy i odpowiadający młodszemu człowiekowi, wchodzącemu w życie społeczne. Na zebraniach kręgu przedstawiane są przez uczestników kręgu odpowiednio przygotowanych lub przez ludzi zaproszonych zagadnienia współczesne życia narodu i państwa polskiego. Wysuwa się zagadnienia aktualne, interesujące każdego dzisiaj Polaka i do tego zagadnienia przystępuje się, odrzuciwszy wszelkie formułki rozwiązywania programowego przez obecne grupy polityczne, lecz ze swoim zdrowym rozumem i chociażby z małym rocznikiem statystycznym w ręku oraz podstawowymi znajomościami zagadnień życia społecznego. Zbiera się również literaturę dotyczącą danego zagadnienia, przedstawiającą je w sposób naukowy i objektywny. Spotkałem się z kręgiem, który w ten sposób wysuwał zagadnienia i z nimi się zapoznawał. Dla przykładu podaję: 1) kultura i problem jej upowszechnienia w Polsce; 2) Polska w życiu narodów i problemy jej polityki zagranicznej; 3) mniejszości narodowe w Polsce słowiańskie i żydowska; 4) obronność kraju i sprawa realizowania jej w całym narodzie; 5) przebudowa społeczno-gospodarcza w Polsce; 6) inteligencja w Polsce; 7) wieś i miasto w Polsce; 8) młode pokolenie w Polsce i jego analiza. Zagadnienia te rozbijano na mniejsze bardziej szczegółowe podporządkowane któremuś z powyższych. Wysunięte w ten sposób sprawy powodowały własną pracę umysłową, zmuszały młodych ludzi do pracy, do szukania nowych dróg, rozwiązywania, właściwego młodemu pokoleniu. Nie sugerowano siebie i drugich receptami takich czy innych grup. Podstawą wyjściową w rozpatrywaniu tych zagadnień była miłość Polski i światopogląd harcerski. Praca ta pobudzała do pracy osobistej członków nad tymi zagadnieniami. Zaczęto szukać książek z danej dziedziny, pożyczać sobie wzajemnie, dyskutować poza zebraniami. Widać było pracę tych ludzi nad wypracowaniem światopoglądu. Konfrontowano to nieraz ze sposobami rozwiązywania poruszonych zagadnień przez pewne grupy polityczne, ale to miało charakter własnego przemyślenia, własnego związania się z tym czy innym sposobem rozwiązania palącej potrzeby życia polskiego.

Wyznaczenie więc stanowiska harcerskiego wobec bieżących zagadnień życia politycznego w Polsce było łatwe i jasne. Wiązało uczestników z życiem współczesnym i rzeczywistością polską, nie zmuszało ich do myślenia kategoriami przeszłości, jak to czynią niektóre grupy polityczne. Wysuwano wtedy, że w zakresie podstawowych zagadnień dzisiejszego życia polskiego istnieje jednolitość i wspólny sąd. To wytwarzało dobrą atmosferę. Atmosfera ta polegała na tym, ze istnieje pewien jasny program działania dzisiejszego pokolenia w Polsce. Program ten wysuwa życie, duch narodu polskiego i położenie państwa polskiego. Program ten musi być realizowany w Polsce przez każdy przyszły rząd i władze Rzeczypospolitej.

Gdy tak porównywałem te dwie formy zapoznawania kręgów z zagadnieniami światopoglądowymi — to jasnym mi się zdało, że ten drugi punkt wyjścia odpowiada starszemu harcerstwu i ten drugi prowadzi do szukania tych wspólnych nici, które wiążą młode pokolenie i które prowadzą do wytworzenia zwartego i silnego narodu, opartego o mocny ustrój wewnętrzny.

Ta forma druga pobudza do pracy samokształceniowej, do pracy nad skrystalizowaniem swojego patrzenia na życie, otwiera oczy na żywotne i istotne zagadnienia Polski dzisiejszej. Tworzy to poza tym potrzebę określenia swojego programu działania w tych sprawach i zagadnieniach, które są najistotniejsze dla życia polskiego, które stały się własnością całego narodu polskiego i jego koniecznością dziejową.

Rzucam tych kilka myśli nasuwających się przy obserwowaniu form pracy starszo-harcerskiej na odcinku dążenia przez uczestników do wypracowywania światopoglądu. Praca kręgów zyskałaby, gdyby rozpoczęto na ten temat dyskusję, wymianę obserwacji i uwag na łamach „Brzasku".

Władysław Szczygieł.



fot. L. S. Załuski.

B. Burski

BIEDA-SZYBY

(reportaż spod Dąbrowy Górniczej)

Jest już po południu. 3° C mrozu. Mimo to drogą, którą idziemy, a ściślej biorąc, obok której próbujemy, przeskakując z kamienia na kamień, przebrnąć, to jedno wielkie maziste, czarne bajoro, w którym co chwila grzęźnie po osie jakaś fura z połową ładunku, z którego nieludzkie co chwila rozlega się wycie ochrypłych furmanów, tłukących niemiłosiernie czym popadnie biedne, wychudzone koniska. Tow. Ochrony Zwierząt miałoby tu wdzięczne pole do popisu. Ale cóż począć wobec takich np. argumentów: „jom, pieronie, jest właściciel tygo kunia, jo go moga zabić, a tobie... synku nic do tego, ciągnij som, pokoż jak to idzie..."

Idziemy więc dalej. Uwalani błotem po kolana, wybrnęliśmy szczęśliwie na małe wzniesienie. Przed nami ciemnieje olbrzymia nieckowata połać terenu, zrujnowana, skopana tak, jakby conajmniej ze 3 dni biła po niej najcięższa artyleria. W głębi, na wzniesieniu czarna, spokojna smuga starego lasu. Przy nim jakieś ruiny, resztki betonowego budynku. Tu i ówdzie widać buchającą parę z ziemi, gdzie niegdzie ciągnie się w górę niebieskawo szara wstęga dymu. Widome znaki, że się tam coś robi, że tam są ludzie. Poza tym pusto, smętnie... Podchodzimy do najbliższego szybiku. Na nasz widok powstaje lekkie zamieszanie, słychać szemranie, lecz nieufność wnet rozbraja nasze: „Szczęść Boże!" Z szybiku bucha jakaś stęchła obrzydliwa para, obok kupa wyrzuconej świeżej ziemi zwolna szarzejącej pod działaniem mrozu. Nieco dalej leży stare podziurawione kilofem wiadro, w nim trochę tlącego się ognia, no i nad prostokątem szybu kołowrót z korbami i liną do wyciągania z dołu „urobku", sprzętu i ludzi. Właśnie w tej chwili ciągną na wierzch górnika, który wykopywał szybik. „Maszyny" wyciągowe, to jedna starsza już niewiasta (żona) i jakiś 22-letni wymizerowany młodzieniec (syn). Ciężko, równomiernie obraca się kołowrót; chcemy pomóc. Pada wyjaśnienie: „panie, tam na tej lince chłop mój, pan rozumie". Rozumiemy... Wreszcie po chwilowym czekaniu, z oparów i ciemności dołu zaczęła się wyłaniać ludzka postać, ciągniona na zawieszonym do linki „kiblu". Mokry od potu, mokry od pary, zgrzany, w podartej, ledwie grzbiet przykrywającej kurtce, owalany iłem i gliną górnik, siadł ciężko na krawędzi szybiku i zaczerpnąwszy parę łyków powietrza, spojrzał nieufnie po nas.

— „Panie, niech się pan przykryje czymś, jest zimno, łatwo się przeziębić" — mówimy.

— „Eee, diabli ta swego nijak nie chcom zabrać".

— „Przecież pan spocony, mokry".

— „Przykryj się stary, na, mosz chustę".

To poskutkowało.

— „Węgla, widzę jeszcze niema" — odzywam się znowu.

— „Brak nam jakie dwa metry"—pada odpowiedź młodzieńca.

— „A ile już wykopaliście"?

— „23 mtr i to bez „obudowy"[1], bo skąd brać na kapy [2]) i stemple [3]), kiej niema na chleb. Rodzina duża, 4 dzieci, synowa, wszystko w jednej dziurze [4]), głodne, pracy znikąd, zasiłków nie dadzą, bom nie wyrobił... A wreszcie może nas tu znajdą — znów szybik rozstrzelą".

1) umocnienia ścian szybiku, 2) belki podtrzymujące deski u stropu, 3) podpory i rozpory, 4) izbie.

— „Tu obok, widzi pan" — ciągnie znów syn górnika — „mieliśmy ładny węgiel, gruby, twardy, stary filar, 28 mtr głęboko".

— „8 dni my go kopali" — wtrąca kobieta. — „Mogliśmy nafedrować [1]) węgla z wagon, ale akurat przyszli z kopalni i wszystko na nic... Nawet węgiel i już urobiony kluską [2]) rozgonili".

— „Dlaczego taka para bucha"? — pytamy.

— „Na dole pali się panie, gorąc jakie 30°".

— „No, a gazu niema"?

— „Tutaj nie, ale pod Zagórzem wczoraj dwuch udusiło, dziś rano ich wyciągnęli. Jeden, panie, 5-ro dzieci i żona chora przy szóstem... Jutro pogrzeb".

*

Idziemy dalej, zaglądając po drodze do opuszczonych szybików, wykonanych mistrzowską ręką bezrobotnych górników. Ściany prawie nieskazitelnie pionowe, bez jakichkolwiek załamów, a wykończone prostymi narzędziami: kilofkiem górniczym i łopatą, w towarzystwie lampy karbidówki, bez precyzyjnych narzędzi kopalnianych. Głęboko, dna nie widać. Trafiamy na czynny szybik. Trzy furmanki ładują węgiel. Konie posilają się, ludziska grzeją się przy rozpalonych ogniskach. Obecność nasza wprawia w lekkie poruszenie gromadkę robotników, ale po chwili jeden z nich, dobry mój znajomy, bez kłopotu przywraca wszystko do normalnego stanu.

— „No, i jakże tam idzie „fedrunek"? — pytam.

— „Nie można narzekać, jest nas czterech, pracujemy na zmianę dzień i noc. Węgiel dobry, gruby, ale głęboko, bo na 33 mtr. Ogień mamy na dole, zaraz zboku widać go, tylko gdzieś go goni w „dół" i nam nie przeszkadza".

— „Ciężko robić, nisko, cały czas trzeba leżeć na brzuchu, „kap" niema wiele, bo drogie, a las pilnują. Wczoraj chcieli nam szybik wysadzić, aleśmy nie dali, ludzie nam pomogli. Przyszła potem policja, jednego nam zabrali, bo chciał zbić dozorcę z kopalni..."

— „Oni nie darują — wtrąca drugi—dziś wieczór napewno znów przyjdą, ale niech tam! „Urobek" mamy prawie skończony, grosza my trochę zarobili na święta....

Pod magistrat nie pójdziemy po dziadowiznę".

*

Spotykamy następnie trzech, leżących na ziemi przy ognisku szybikarzy, zmęczonych, wynędzniałych. Jeden pali w gazetowym papierze jakieś obrzydliwe zielsko z tytoniem. Karbidówki tlą się lekkim białym płomieniem. Obok nich kwadratowa czeluść szybiku, przy nim leży kołowrót, kibel i trochę „feli" ze starego parkanu. Skradzione.

Pozdrawiamy — odpowiadają niechętnie. W trakcie rozmowy dowiadujemy się, że wykopali już 19 mtr głęboko, ale już woda zalewa szybik i wszystko na marne. Bilans: trzech ludzi, ledwie żyjących, pracowało w pocie czoła w ciągu tygodnia, w gruncie twardym — bez rezultatu...

I tak tu jest często. Szczęście potrafi na szybikach płatać przykre nieraz figle. W jednym wypadku np. górnik dokopał się na 20 mtr. węgla, bez kłopotu, szczęśliwie, a o 10 mtr. dalej —drugiemu już „zarabowało" [1]) na 8 mtr. i ledwie z życiem uszedł. W innym szybiku obrywający się blok ziemi przygniótł pracującego w dole górnika; wyciągnęło go martwego pogotowie kopalniane po 2-ch dniach niebyle jakich wysiłków; w innym jeszcze miejscu, w zasypanym szybiku, blisko dwie doby przesiedziało dwóch górników i tylko cudem doprawdy światło dzienne ujrzeli, odkopani przez własnych kolegów. Wypadków takich i podobnych jest na szybikach cała moc. Ale nie odstraszają one nikogo od tej ciężkiej i niebezpiecznej pracy. Najboleśniej odczuwają szybikarze to, gdy im władze kopalniane rozstrzelą szybik w momencie, gdy już rozpoczną wydobywanie węgla. Kilka ładunków dynamitu, spłonki lątów, odsuwa się wszystkich z zagrożonego miejsca, kilkanaście minut czekania, huk jeden, drugi, trzeci i po chwili — z obiecującego wiele dołu szybowego, z wyników mozolnej pracy bezrobotnych — zostaje wielki, pusty lej...

1) nakopać urobić, 2) ładunkiem dynamitu.

*

Pole, po którym chodzimy, to nadanie kopalni, należącej, jak w ogóle wszystko cenniejsze, do kapitału obcego. Kopalnia pokładów płytszych, cienkich nie eksploatuje nigdy, leżą bezużyteczne, martwe. Kopią je, ratując się przed śmiercią głodową, szybikarze, oczywiście, nielegalnie. Stąd też ciągłe wysadzanie dynamitem szybików znalezionych, ciągłe gonitwy i ucieczki trapionych nędzą ludzi. Ostatnio wydano np. zarządzenie, że węgiel sprzedawany z wozu bez kwitu kopalnianego, ulega konfiskacie. Jeśli się zważy, że węgiel szybikowy kosztuje łącznie z przywozem 1,80—2,00 zł. za 100 kg, że węgla dobrego z kopalń miejscowych dostać nie można, bo Towarzystwu kopalnianemu nie opłaca się bawić w detal, to łatwo zrozumiemy, jak wielkie rozgoryczenie musiało to zarządzenie wywołać. Ile przekleństw i złorzeczeń padło pod adresem władz kopalnianych i nie tylko kopalnianych... Ile oszustw i machinacyj na tym tle dokonano... Zbrakłoby skóry wołowej do opisania wszystkiego. Gdyby tak komuś wpadł kiedyś szczęśliwy pomysł, ażeby zamiast gnębienia tych nieszczęśliwców - szybikarzy ciągłym niweczeniem ich ciężkiej, a nieraz daremnej pracy, zebrać ten rozrzucony wysiłek razem, nadać temu formę prawną, usprawnić go, to sądzę — nie trzeba byłoby tylu ofiar życia ludzkiego, tyle niezadowolenia i rozpaczy, kradzieży i t. p., których świadkami jesteśmy. Więcej nawet: kosztem samego dynamitu i przyborów, niszczonych setkami kg. codziennie, możnaby nie jeden piękny dom i warsztat zbudować, przeprowadzić wyszkolenie w zawodzie, już nie górniczym, setek ludzi. Nikt by, przypuszczam, na tym nie stracił, a już najmniej kapitał obcy. Ale życie idzie swoją drogą, prawo swoją...

*

Codziennie (pod osłoną nocy lub w dnie mgły i niepogody) przed oknami mego mieszkania przejeżdżają furmanki, naładowane węglem, wywożonym z „biedaszybów". Codziennie setki korcy wywożą furmani do okolicznych wsi i miasteczek. Wiele też węgla roznoszą wygięte, spracowane plecy ludzkie...

1) zasypało, zawaliło.

H. Niemyski

NIEWESOŁE MIASTECZKO

Jeśli kilka razy przesiądziesz się z jednego pociągu na drugi i jeśli po kilkogodzinnym klekotaniu przedwojennych wagonów spostrzeżesz, żeś już sam w przedziale i sam w całym wagonie, to znak, że zbliżasz się, czytelniku, do mego „kraju lat dziecinnych".

Gdybyś miał jednak wątpliwość, czyś do właściwej mieściny zajechał, wyjdź czym prędzej z pociągu przed drewniany budynek stacji. (Dla lepszej orientacji podaję: po lewej stronie przepisowy budyneczek: „dla kobiet" i „dla mężczyzn").

Jeśli teraz dostrzeżesz pięć i pół dorożki, jeśli dorożki te wydadzą ci się jakby wyciągnięte psu z gardła, zmiętoszone i koszlawe, jeśli następnie przerazi cię bezczelność ich właścicieli, krzyczących coś do ciebie i rozrywających na wszystkie strony twoją starą teczkę i rękawiczki — o, to już wtedy możesz mieć niechybną pewność, że jesteś w moich stronach rodzinnych.

Poprawniej mówiąc: w pobliżu moich stron rodzinnych. Do samej bowiem mieściny będzie jeszcze ze cztery wiorsty. (Któżby tam w tych stronach na kilometry odległości mierzył!). Zapewne wydaje się to dziwne, że stacja kolejowa odsunęła się od miasta tak daleko, mimo, że tor kolejowy przechodzi w pewnych miejscach o jakieś cztery — pięć staj od „przedmieścia". Myślicie, że na tę niedogodność zwraca ktoś uwagę? Eee... tam, panie, już tak za Moskala było i nikt nie narzekał. Wszystko więc w porządku.

Tak przynajmniej twierdzą dorożkarze, wyznawcy „długich kursów".

Wróćmy więc do dorożkarzy.

Chcesz bowiem, czy nie chcesz, drogi przyjacielu, ale do mej mieściny inaczej się nie dostaniesz, niż za pośrednictwem jednokonnej dorożki. Żałuj, oczywiście, żeś nie trafił dzisiaj na karocę (dorożkarską obecnie), zamkniętą podwójnymi drzwiczkami, z miejscem dla twoich sług i powoźnych. Przeżyłbyś może wielkopańskie złudzenie: trąbki myśliwskie, sfory psów, zmiany koni...

Ale jedźmy.

Na wlokącej się w tempie, popularnego w tych stronach, „żydowskiego galopu" dorożce masz miłą sosietę. Na koźle furman, funkcjonariusz pocztowy z torbą nadeszłych listów i syn dorożkarza. Wewnątrz dorożki: ty (jako „gość" dostałeś 1/3 miejsca na głównym siedzeniu), obok z jednej strony przytula się do ciebie jakaś „rachelka", z drugiej — na szczęście nie za gruby nieznany ci „szary obywatel". Przed tobą na ławeczce siedzi jeszcze jakaś babina. To wszyscy. Towarzyska jazda ma wiele stron dodatnich. Któż z nas, tutejszych z krwi i kości, nie ceni tego! Dowiedzieć się można wtedy o wszystkim. Kto umarł, komu się coś tam narodziło, kto i do kogo co czuje, dlaczego proboszcz zmienił gospodynię, dlaczego starostę zwolnili... O wszystkich, absolutnie o wszystkim. Rozgrzany półgodzinną jazdą i podszyty chęcią zobaczenia czegośkolwiek spojrzałeś, przyjacielu, na mijany gmach z czerwonej cegły, z powybijanymi szybami i z napisem: „chrześcijański młyn parowy"... Usłużni towarzysze podróży wszystko ci zaraz wyjaśnią.

— Na urągowisko tylko stoi ten młyn...

— Wiadomo, za społeczne pieniądze budowany....

— Gadali i gadali, żeby się gospodarze złączyli i razem za swoje grosze młyn postawili, a teraz ich na dudków wystrychnęli.

— I to już chyba z pięć lat ta rudera stoi...

Chyba już o nic więcej pytać nie warto. Wszystko to jasne i proste. Gdybym wiedział, czytelniku, że masz już ze trzydzieści lat, to bym miał pewność, że dodasz od siebie: „bo to tak zwykle bywa". Myślę, że wtedy pokiwałbyś nawet dobrotliwie i wyrozumiale głową, która swoją mądrością wszystko zrozumiała i przewidziała.

Ale popatrz, czytelniku, na mijany gmach nowej szkoły powszechnej. Piękny jest! Okna duże, słoneczne, radosne. Mógłbyś tutaj posyłać swe dzieci do szkoły. Nie wiesz jednak, zapewne (bo i skądże), że szkoła ta stanęła na podgniłych już fundamentach, na których miał wznieść się sumptem społecznym wznoszony dom ludowy.

Podwaliny te i fundamenty założono (zdaje się) w 1927 r., poświęcono je przy dźwiękach orkiestry strażackiej wśród długich przemówień tutejszego burmistrza... Następnie nie byle kto, tylko sam kryzys światowy spowodował, iż budowa stanęła. I stała tak spokojnie przez trzy lata. Aż któregoś ranka zwyczajowo, choć nawet nie przy niedzieli, pijany obywatel miasta zwalił się do dołów wśród fundamentów i połamał sobie nogi... Wtedy (trzeba było przed tym zapłacić parę tysięcy odszkodowania...) ogrodzono budowę drutem kolczastym i obwieszono tabliczkami: „osobom obcym wstęp surowo wzbroniony". I to widocznie pomogło. Od tego czasu trawa spokojnie porastała mury, cegły się powoli rozsypywały. I znów czas leciał. Normalnie.

Aż teraz, pół roku temu, jakiś furiat dorwał się do roboty, narobił szumu, zakręcił ludźmi i szkołę postawił aż miło. Moi sąsiedzi z „kraju lat dziecinnych" zbogacili się o jedną więcej mądrość. Ujęli ją w zdanie: wiadomo, tylko obcy człowiek może coś z naszymi ludźmi zrobić... I to im wystarcza znowu.

A więc spokojnie, mój przyjacielu, spokojnie... Zaczynasz już może myśleć o tym, jak zorganizować odbudowę chrześcijańskiego młyna parowego? Pomyśl jednak, co ci z tego przyjdzie, że młyn ruszy. Odejdziesz ty, przyjdą inni, okradną młyn, długów narobią. I co wtedy? Kląć będą na ciebie i pomstować, żeś naruszył to cmentarzysko. Moi „ziemiacy" zgóry ci to wszystko wyjaśnią, wyklarują i pouczą. Kiwaj raczej głową, a jeśli możesz, układaj w niej sentencje na ten temat, że nie tylko w zabytkach historycznych żyje coś, co mówi, że nawet taki „chrześcijański młyn parowy" i „dom ludowy" ma swoje karty przeszłości... i dziwnie współczesną wymowę.

Chciałbym ci, drogi przyjacielu, pokazać naszą elektrownię. Przypatrz się jej. Zbudowana, jak widzisz, nowocześnie, szykownie, z rozmachem. Fontanny, okna niemalże piętrowej wielkości, maszyny ze Szwajcarii... Posłuchaj, co mówią twoi towarzysze podróży:

— Piękną mamy elektrownię...

— Po chorobe te widzimisie, ta goła baba i fontanny.

— Dla ozdobienia...

— A miasto dług spłaca za świajcarskie maszyny.

Wreszcie dorożka staje. Przed nami czworokąt dużego budynku z wystrzelającą ze środka wieżą. Śmieje się teraz zamorusanymi tarczami czterech zegarów. To ratusz miejski.

W tej chwili opuszczają cię, czytelniku, twoi towarzysze niedoli, zostajesz sam w dorożce. Na co czekasz? Nie czekaj, wysiadaj również. Dorożkarze tutejsi nie mają zwyczaju odwozić pasażerów do domów. Chyba, że zapłacisz za drugi „kurs".

Podziwiaj lepiej ratusz. Jest on trochę przysadkowaty i za krępy, przypomina nawet siedzącego światowida. Czasem z jego wieży strażak wygrywa hejnał. Zwykle następuje ta uroczystość (zresztą wyjątkowa) w dni ciepłe i ewentualnie w dniu św. Floriana, patrona ochotniczych strażaków.

Ponieważ wszystkie oglądane dotąd budynki wlokły za sobą jakieś niedobory i kłopoty finansowe, więc tym razem z dumą muszę podkreślić, że gmach ratusza nie jest obciążony żadnymi długami. Bardzo to więc wyjątkowa budowla. Na szczęście, częste procesy karno - sądowe niektórych burmistrzów nie miały już wpływu na to, aby konto zadłużenia tego gmachu otworzyć.

Wpatruj się więc pilnie, mój przyjacielu, w jego styl nieokreślony, w jego okna weneckie, badaj ciepło centralnego ogrzewania. Wpatruj się tak pilnie w to wszystko, żebyś nawet nie zauważył stojących dookoła ratusza zgrzybiałych i powykrzywianych drewnianych domków, malowanych w tym roku na szaro - niebieski kolor... (Przed kilku lat był brązowy).

Szkoda bardzo, że już zapada wieczór. Mógłbyś przynajmniej zauważyć napisy na płotach i co nędzniejszych domkach: „do rozbiórki". Być może, że kojarzyłbyś te poczynania z państwowymi planami wielkich inwestycyj, a przynajmniej nabrałbyś pojęcia o ruchliwości i zaradności administracji miejskiej.

Ale dość o tych budynkach, płotach i inwestycjach. W mojej mieścinie żyją przecież ludzie. Jest ich nawet parę ładnych tysięcy. Najłatwiej je zauważyć w dni szabasu i w niedziele. W soboty bowiem na ulicach miasta demonstruje większość żydowska, w niedziele po mszy defiluje przez miasto większość katolicka. Te dwa dni siedmiodniowego tygodnia stały się nawet dzięki temu dniami demonstracji obustronnie „narodowych". I to wcale nie drogą jakichś planowań i taktyk organizacyjnych.

Trzeba cię tutaj poinformować, drogi przyjacielu, że ludność mego miasteczka dzieli się zasadniczo na trzy odłamy: żydzi, endecy i urzędnicy.

Dwie grupy: żydzi i endecy (endecy i żydzi) trwają w długim sporze i oficjalnej nieprzyjaźni. Nie jest to jednak nieprzyjaźń niechrześcijańska. Kilku np. dziedziców, niejeden też proboszcz, występujący na zebraniach politycznych jako gorliwi endecy, zboże, słomę i paszę sprzedają żydom. Co prawda, mówiąc obiektywnie (jeśli chodzi o dziedziców), to i po kredyt chodzą tylko do żyda.

Trzecia grupa — to urzędnicy. Cóż można o nich powiedzieć? Chyba niewiele. To tylko może, że kłaniają im się żydzi, a endecy nie chcą im się kłaniać.

Po za tymi grupami zostają jeszcze rolnicy. O nich obecnie w mieście nie słychać. Siedzą cicho, płacą podatki i długi. W 1928 r. płacono im za korzec zboża około 40 zł., obecnie około 10 zł. Podatki w 1928 r. i 1939 r. te same. Biadolą więc po cichu i wzdychają. A boją się

POLEMIKA

„Próba charakterystyki młodzieży dzisiejsiej" wywołała odgłosy polemiczne. Witając z radością ten objaw zainteresowania się poruszonym zagadnieniem, czekamy na dalsze wypowiedzi. Należałoby nawet dążyć do tego, aby z naszego środowiska harcerskiego wyszła charakterystyka młodzieży dzisiejszej.

Redakcja.

WIĘCEJ OPTYMIZMU

Prawie wszyscy bardziej objektywni obserwatorzy zgadzają się na ujemną ocenę czasów dzisiejszych — jeśli idzie o takie imponderabilia jak wolność, demokracja, wrażliwość na krzywdę społeczną...

Na odcinku młodzieżowym widzimy również przeważnie cechy ujemne, dowodem chociażby artykuł druhny Z. Wołowskiej w 19 numerze „Brzasku". Czy jednak możemy uznać „próbę charakterystyki młodzieży dzisiejszej" za trafną? Moim zdaniem: nie. Spróbuję zdanie to uzasadnić, z góry przepraszając czytelnika za ewentualny brak fachowości — nie jestem bowiem ani pedagogiem, ani psychologiem z zawodu.

Otóż jeśli idzie o młodzież uniwersytecką — w dużej mierze artykuł jest słuszny. Czy jednak młodzież uniwersytecka jest całą młodzieżą dzisiejszą? Czy przez takie uogólnianie nie popełniamy ogromnego błędu, który, niestety, jest dzisiaj udziałem bodajże większości społeczeństwa miejskiego.

Nie chcę powtarzać rzeczy — tyle razy poruszanych szerzej, pragnąc jednak sumiennie naświetlić zagadnienie, muszę z konieczności zanalizować, z jakiego środowiska wywodzą się w swej większości dzisiejsi studenci uniwersytetów.

Jak wiadomo — nie ma tam reprezentowanych wszystkich warstw społeczeństwa. Synowie chłopów i robotników — to znikomy procent studiujących. Większość, to synowie t. zw. inteligencji, a więc urzędników, kupców, ludzi wolnych zawodów....

Być może, że właśnie ta młodzież nadaje częstokroć ton życiu młodzieży miejskiej, daleka jest jednak od reprezentowania całości, bowiem przy naszej strukturze, przynajmniej 70% to młodzież wiejska, a z 30% pozostałej — duża część to młodzi robotnicy czy bezrobotni; ta młodzież, której szczególnie imponuje brutalna siła, ta, która odczuwa konieczność podporządkowania się „wodzom", to odsetek znikomy.

Jak jest naprawdę na wsi?

Spróbujmy po krótce rozpatrzeć wiejskie organizacje młodzieży. Zaczniemy od organizacji najliczniejszych: Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży męskiej i żeńskiej. Według Małego Rocznika Statystycznego zorganizowanej K. M. męskiej jest 134 tysięcy, żeńskiej — 150 tysięcy.

Ton organizacji nadaje kler. — Ka-eS-eMy — to podbudowa Akcji Katolickiej. Obok wychowania religijnego, bardzo duży nacisk kładzie organizacja, nawiastem mówiąc, organizacja zasobna, operująca dużą ilością płatnych instruktorów) na przygotowanie fachowe, na przygotowanie do zawodu rolniczego. Organizacja w dużej mierze korzystająca z dorobku naszej organizacji, chociażby przez współpracę byłych instruktorów, a nawet i czynnych harcmistrzów Z. H. P. W większości operuje ona młodzieżą raczej bierniejszą, mniej samodzielną — dającą się prowadzić, będącą pod „patronatem" księży.

Ma to, oczywiście, swoje dobre i złe strony.

Drugą z liczebności będzie Związek Młodej Wsi „Siew". Według tego samego źródła obejmuje 132 tysięcy młodzieży w zespołach koedukacyjnych. Obejmuje młodzież starszą — pozaszkolną.

Tutaj zabarwienie jest już jednak zupełnie inne. Wprawdzie ta organizacja uchodzi, zdaniem wielu, za organizację najbardziej „wodzowską" — jednak jej „wódz" Stanisław Gierat, to człowiek o sympatiach raczej demokratycznych, organizacja zaś uważana jest słusznie czy niesłusznie za „naprawiacką".

I tutaj spotykamy harcerzy. Kierownik biura Zarządu Głównego jest czynnym podharcmistrzem.

Z tą to właśnie wsiową organizacją jesteśmy związani „czórporozumieniem".

Trzecią organizacją jest, liczący 97 tysięcy członków, Związek Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici".

Jest to organizacja szczerze demokratyczna, związana z ruchem ludowym najgłębiej — uważająca się za „Idącą Młodą Wieś". Idącą ku Nowej Polsce, opartej na równości i sprawiedliwości, Polsce bez przywilejów urodzenia czy majątku, Polsce demokratycznej, wolnej od przesądów, w której chłop, ta sól polskiej ziemi, zajmie należne mu stanowisko.

Ta organizacja, jako antyklerykalna, będąca w opozycji w stosunku do obozu dziś będącego przy władzy — często jest nazywana „Komuną" (żydo- nie można doczepić, bo zwolennicy spółdzielczości są z konieczności przeciwnikami żydów).

Obok pracy samokształceniowej, która jest w obydwu ostatnio wymienionych organizacjach, a zatem i w Siewie i Wiciach — uważana za najważniejszą — prowadzą one również prace zespołowe — biorąc udział w pracach Przysposobienia Rolniczego, któremu trzeba, dla uzyskania całokształtu, też kilka słów poświęcić.

Otóż musimy zacząć od początku. Sejm Ustawodawczy, ten, który uchwalił reformę rolną, uchwalił również na wniosek niezapomnianej działaczki Jadwigi Dziubińskiej, że dla podniesienia oświaty na wsi, nie dosyć będzie zlikwidowanie analfabetyzmu przez jej upowszechnienie (szkolnictwo powszechne), lecz trzeba również podniesienia kultury rolniczej — i że każdy powiat będzie miał dwie szkoły rolnicze, męską i żeńską. Ponieważ jednak szkoły takie nie powstały w potrzebnej ilości, trzeba było radzić inaczej. Z inicjatywy prof. Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, J. Mikułowskiego - Pomorskiego, który samą ideę przywiózł ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn., powstają już w 1926 r. pierwsze zespoły Przysposobienia Rolniczego, gdzie młodzież w myśl hasła „pospólnie a sami" drogą samokształcenia, zdobywa potrzebne jej wiadomości rolnicze. Dzisiaj Przysposobienie Rolnicze obejmuje już zgórą 90 tysięcy młodzieży.

To właśnie Przysposobienie Rolnicze stało się miejscem neutralnym, na którym spotykają się, w szlachetnej rywalizacji, wszystkie z wymienionych organizacyj, oraz wiejskie zespoły „Strzelca".

I jak się okazuje — ogień i woda, katolicy i „komuniści" z „Siewu" czy „Wici", wreszcie „Strzelcy" — mogą żyć pod jednym dachem na wspólnych kursach dla przodowników, czy kursach rejonowych dla zespołów i nigdy jeszcze nie doszło do jakichś większych nieporozumień.

Do tej krótkiej charakterystyki, dodać musimy, że w organizacjach młodowiejskich panuje duch zdobywczy — młodzież pragnie budować zręby nowej przyszłości, opierając gmach Ojczyzny na swych krzepkich barkach — panuje też gorący entuzjazm, którego nie mogą zagasić przeróżne przeciwności i represje, niekiedy bardzo drażliwe.

Okazuje się więc, że nie wolno aż tak daleko uogólniać, jak to uczyniła druhna Wołowska.

Młodzież miejska, to na szczęście nie cała młodzież polska, a w każdym razie młodzieży naszej nie reprezentują tylko studenci uniwersytetów.

Pozwala to też z większym optymizmem patrzeć w przyszłość.

Z. Kawecki.

społeczników i nowatorów. Jeszcze teraz niejeden z nich spłaca raty za plajtę „chrześcijańskiego młyna parowego", „domu ludowego", „kółka rolniczego", czy „banku ludowego"...

To ci chyba, czytelniku, wystarczy, żeby się zorientować w strukturze, wyglądzie i efektach mego rodzinnego miasta. Resztę obejrzysz sam. A jeśli po roku pobytu w tym mieście nie rozpijesz się z nudów, z braku pogodnej i twórczej atmosfery, z braku radości, jeśli cię przed tym plotka nie zamęczy — to uznam cię, drogi przyjacielu, za człowieka bardzo odpornego. Próbuj więc.

Nazwy swojej mieściny nie podaję. Bo i po co? Jeśli się ktoś ostatecznie pomyli i trafi do sąsiedniej, to chyba wiele nie straci. Nie pierwsze to przecież i nie ostatnie jeszcze — niewesołe miasteczko.

MŁODZIEŻ ZAWSZE TA SAMA

Charakteryzować ludzi żyjących dzisiaj, to jednak niemożliwość dania obrazu pełnego i właściwego. Czas może wypłatać złośliwego figla i w kilka chwil po ogłoszeniu charakterystyki dzisiejszych ludzi, wystawić na ocenę i krytykę takie poczynania, które potrafią przekreślić to, co mówiono — jeszcze przed chwilą.

Spróbuję na tym miejscu odpowiedzieć na artykuł „Próba charakterystyki młodzieży dzisiejszej", umieszczony w poprzednim numerze naszego pisma.

Błędem jest osądzanie pewnych faktów jako dowodów kultu siły fizycznej. Ekscesy na wyższych uczelniach nie mogą być inaczej brane, niż jedynie jako pewne wybuchy, odruchy organizmu młodego i tym samym skłonnego do gwałtowniejszego i szybszego reagowania.

Bierne „poddawanie się atmosferze i nakazom, które sumienie potępia", jest zupełnie czym innym, niż Autorka wymienionego artykułu przypuszcza. Nie może być mowy o tym,

„że w psychice młodzieży polskiej zaszły jakieś poważniejsze przemiany". Brak aktywności w reagowaniu na sprawy ekscesów, to jeszcze nie chowanie głowy pod piórka, lub brak chęci do walki.

Trzeba uznać, iż my, młodzi, potrafimy być tylko w dwóch szeregach. Pierwszy — to szereg walczących, drugi — uczących się, myślących o własnych kłopotach, wyładowujący potrzebę walki, przodowania, programowania i t. d. w organizacjach i stowarzyszeniach, nie mających często nic wspólnego z polityką. To jest pierwszy punkt patrzenia. Drugi idzie w innym kierunku.

Kilkuletnie ekscesy na wyższych uczelniach okazały siłę młodzieży, oddziaływanie jej na wewnętrzne życie społeczne, na nastawienie władz rządzących. Młodzież, a nie starsi, doprowadziła do przemian w psychice społecznej. Weszło tu wiele elementów niedopasowanych do czynników myślenia i tworzenia duchowego oblicza Polski, niemniej uznać należy sam fakt przemiany, za dokonany.

Moment dokonania przemiany został uznany przez młodzież wyższych uczelni za skończony okres próby dzielności organizacji młodzieżowo - politycznych pod względem odpowiedzialności za szersze branie udziału w sprawach dalszych przemian i nastawień wobec czynników obcych w Polsce.

Autorka artykułu twierdzi, iż młodzież garnie się chętnie do organizacyj rozkazodawczych, gdzie ta szczególna, właściwa epoce dzisiejszej, potrzeba rozkazu z góry, znajduje zaspokojenie. Wniosek Autorki nie jest słuszny. Udawadniam: młodzież zawsze potrzebowała wodzów. Każda z epok dawała jej takich lub innych ludzi na naczelne stanowiska. Od tych ludzi zależało mieć większy lub mniejszy posłuch ogółu. Jeżeli dhna Z. Wołowska bierze pod uwagę grupę dwustu ludzi, którzy wyciągają rękę do pozdrowienia w ten lub inny sposób, krzycząc z uwielbienia do człowieka starszego od nich o cztery lata, to gruba omyłka i za wielkie uproszczenie, aby uznać, iż czyni to **młodzież.** Grupa lub klika nie jest naszą całością.

Wracam do potrzeby władzy i posłuchu rozkazodawczego. Potrzeba ta zawsze istniała, nawet w czasach bardzo, a bardzo demokratycznych. Kościuszko, Traugutt, Piłsudski — oto wodzowie demokratyczni. Umieli zdobywać posłuch młodzieży i trzymać ją w hasłach walki.

Dzisiejsze upatrywanie przez młodzież wodza w każdym, kto wyrasta o dwa centymetry ponad tłum, to zwykły snobizm, chęć dorównywania innym — zachodnim i południowym kolegom.

Myśmy nie zmniejszyli potrzeby wolności. Zrozumieliśmy, iż wolność osobista musi się zgodzić z wolnością ogólną, a przez to nawet nasze warcholstwo jest mniejsze. Przypuszczam, znajdą się ludzie, którzy przyznają mi rację, iż Warszawa nie jest Polską. Jeszcze pozostał duży obszar kraju, który pospolicie zwie się prowincją. Tam też, proszę Druhny, są ludzie i co „genialni" wodzowie spłodzą w Warszawie, nie zawsze się uda „przemycić" w teren. Prowincja jest bardziej konserwatywna, przemiany i nowe hasła wolniej do niej docierają. „Kocioł warszawski" zdąży dokonać trzech przemian, gdy tam dopiero pierwsza się przyjmie. I to jest dobre.

Życie nasze składa się z wielu różnych lub przeciwnych czynników. Życie składa się z lat, lata z miesięcy i dni. A dni dają kwartały, pory roku. Inaczej żyjemy w każdej porze. Proszę to ocenić i zrozumieć. Proszę zrozumieć, że my mamy ideje i wiarę we własne siły. Ja nie chcę, aby mnie i moich przyjaciół sądzono jako młodzież podległą grupom i prądom niepolskim. My myślimy i pracujemy. My co roku latem pokrywamy Kresy obozami wędrującymi, my zimą wysyłamy patrole w te same strony, my zażądaliśmy od władz państwowych stworzenia Legii Akademickiej, prowadzimy pracę w organizacjach młodzieżowych, oświatowych, piszemy i dyskutujemy, a pośród ogromu codziennych trosk uczymy się i myślimy o życiu.

Nam nie jest potrzebny jeden świat, jeden tupot nóg i jeden ruch pozdrawiających rąk. Z elementęw narodowo-polskich, zwłasnej przeszłości i marzeń o przyszłości, w oparciu o pierwiastki własnych dusz, a nie o totalizm, faszym czy komunizm tworzyć chcemy polską rzeczywistość.

Czyście widzieli kiedy, byśmy się skrzykiwali, zwierali szeregi i żądali za to ustępstw od innych, grozili kastetem lub napadami. Nas z tymi „zabawkami" nie dojrzycie. A przecież nas jest wielu. Zaciężyliśmy już nad ziemią polską, rozsypaliśmy się po lesie i ugorze polskim w twórczym wysiłku. Wielu nas jest, wiele robimy, a nie na pokaz. Przejdzie nasz czas, przyjdą inni i będą pytać: coście zrobili? Utrzymaliśmy i rozwinęliśmy codzienny byt Polski, choć krzyczano, żeśmy stumanieli, że ciągniemy zapach ziem niemieckich, rosyjskich i włoskich. Sądzono nas po drobiazgach.

Oto cała odpowiedź tym, co kiedyś dobywając młodych sił, będą na tyle naiwni, by przypuścić, iż oni dopiero zbudują nowy wspaniały świat!

Tadeusz Kwiatkowski.

KURS PRACY ST. HARC. G. K. H-rzy.
(29.XII.38 — 6.I.39 r.).

W Wiśle, w schronisku na Kozińcu odbył się w dniach 29.XII.1938 r. — 6.I.1939 r. kurs przodowników pracy starszoharcerskiej, zorganizowany przez wydział starszoharcerski Głównej Kwatery Harcerzy. W kursie tym wzięło udział 37 starszych harcerzy, przeważnie kierowników kręgów, reprezentujących różne środowiska Polski.

Uczestnicy kursu, podzieleni na sekcje — zastępy, tworzyli Kuźnicę Harcerską i w ten sposób całość swych zajęć dostosowali do tej formy środowiskowej współpracy harcerstwa.

Na kursie działały cztery sekcje: kulturalno-oświatowa, gospodarcza, militarna i mniejszościowa.

Oprócz prac sekcyj nad różnymi zagadnieniami pracy społecznej program kursu wypełniły referaty prelegentów specjalnie zaproszonych do omówienia niektórych zagadnień.

Dh Szuszkiewicz z Tarnowa mówił więc o poczynaniach na polu gospodarczym kręgu „Znicz" w Tarnowie. Zorganizowanie przez ten krąg fryzjerni i sklepu dało uczestnikom kursu pojęcie o możliwościach pracy w małych środowiskach.

Dh Łowiński zaznajomił kurs z problemami obronności kraju, wskazując konkretne odcinki pracy (opl., stacje odżywcze, służba w szpitalach i t. p.).

P. inż. Obrębski mówił o „COP"-ie i o planach gospodarczo-przemysłowych Polski. Dh Olbromski zreferował zagadnienie światopoglądu harcerskiego i jego zasadniczych elementów (wiara, patriotyzm, miłość bliźniego, człowiek).

Ostatnie dwa dni kurs spędził w Górkach Wielkich, aby w tym ośrodku kształcenia starszyzny dokończyć swych prac. Zajęcia kursowe objęły również dwudniową wycieczkę na Zaolzie,

SPROSTOWANIE.

W numerze poprzednim „Brzasku" (listopad grudzień 1938 r.) artykuł mój p. t. „Pseudonacjonalizm" uległ w druku zniekształceniu wskutek przesunięcia pewnego fragmentu ze środka na koniec.

Prostując ten przykry figiel drukarskiego chochlika zaznaczam, że część artykułu zaczynająca się od słów: „Jak to dziwne zjawisko wytłomaczyć?" aż do końca powinna była następować po zdaniu: „Żyje sokami ziemi germańskiej, za swoją wyrocznię uznaje Hitlera".

A. Wasilewski.

NA FUNDUSZ „BRZASKU".

Zamiast podziękowań za życzenia świąteczne i noworoczne składam na fundusz prasowy „Brzasku" 10 zł.

W. Opęchowska.

Następne numery „Brzasku" ukazywać się będą między 20-25 każdego miesiąca. Materiały przesyłać należy do dnia 15 każdego miesiąca pod adresem Redaktora (Warszawa—Saska Kępa, ul. Walecznych 29 m. 5)

Redaktor: Henryk Kempisty, Warszawa - Saska Kępa, ul. Walecznych 29 m. 5. Administracja: Warszawa, Łazienkowska 7.

Prenumerata: Roczna 3 zł., półroczna 1 zł. 50 gr.: Na konto **P. K. O. Warszawa 62288 „Na Tropie"** (z zaznaczeniem celu wpłaty).

Wydawca: Harcerskie Biuro Wydawnicze „Na Tropie" w Warszawie.

Zakłady Graficzne St. Skierkowski i S-ka, Sp. z o. o., Warszawa, Hoża 55, tel. 722-05.